



Bernd Kebelmann

RÓŻA, LEKKA JAK PTAK

[„Rosa, leicht wie ein Vogel“]

Ernest rozpinał guziki w rękawach koszuli stojąc koło łóżka. Był dobrze zbudowany. „Chodź, Różyczko“, powiedział spokojnie, „nie bój się.“ Róża leżała cicho, jakby zastygła. W jej ogromnych szarych oczach kołysały się czarne, lśniące źrenice. Ernest uśmiechnął się, pochylił się, chwycił jej żylaste ręce leżące na poduszce i szybko odrzucił na bok koldrę. „Przestań, przestań, proszę“, westchnęła cicho i zmieszła się.

Myślała o Józefie, o lecie i o sianie na polach.

„Nie, proszę, to boli.“ Głos Róży zadrzał lekko, załamał się.

Róża była lekka jak ptak. Ernest lubił brać ją na ręce, przytulać delikatnie do siebie i unosić stromymi schodami w słońce. Teraz posadził ją na siedzeniu w kabrioletcie, pochylił się nad nią i powiedział pojednawczo: „Różyczko, jedziemy za miasto“. Zaśmiał się, zastartował samochód, ruszył ostro zostawiając za sobą tuman piachu zmieszanego z kurzymi odchodami i kurzu, który owiał sąsiadów.

Róża mruknęła stereotypowo: „Erneście, zwariowałeś zupełnie“, okryła się płaszczem, który dla niej przygotował i bezłanie porządkowała włosy chudymi palcami dopóki pęd powietrza ich nie uczesał. Ludzie z osady ścigali ich wzrokiem. Róża była tam dobrze znana. Teraz ostrożnie skrzyżowała ręce na brzuchu, uchyliła lekko sine usta, jakby chciała posmakować pełnego zapachów powietrza.

Już przejechali przez osadę, przemknęli przez kwitnące łąki, zanurzyli się w żółtym rzepaku, w pachnącym żywicą lesie sosnowym. Była szczęśliwa, jak za każdym razem. Przymknęła oczy nieprzywykłe do ostrego światła. Pod powiekami chłonęła krajobraz, kalejdoskop barw. Szaroczarna wstęga asfaltu huśtała się, drżała na zakrętach, wila się pośród ceglastej czerwieni pierwszych domów w G. Na krawędzi drogi trzepotały żółtozielone paprocie, kiwał się niebieskozielony jałowiec. Za nieruchomymi pniami sosen połyskiwało, *o teraz znowu, jezioro!*

Ernest objął ją ramieniem i odbił w boczną drogę: „Pojedziemy na nasze miejsce, Różyczko.”

Jej ciało zaczęło się naprężać. Kiedy auto sunęło powoli wąwozem w dół, do jeziora, oparła ufnie głowę na ramieniu, które mocno trzymało kierownicę.

Przed oczami Róży przebiegały obrazy innego lata. W myślach była przy Józefie, siedziała na sianie, na drabiniastym wozie. Zdjęta chustę z głowy, rozpuściła rdzaworude włosy, które trzepotały na wietrze, zsunęła się na kozioł i bez skrepowania przytuliła się do Józefa. On zaśmiał się pod rozwichrzonym wąsem: „Dziewczyno, gospodarz mnie zabije, jeśli mnie z tobą przyłapie. Nas – Polaczków – ma za nic”, powiedział pogwizdując najnowszą polkę, szarpnął stanowczo cugle, krzyknął „do diabła!” i w końcu zatrzymał wóz.

Wreszcie przybyli na miejsce. Ernest przechylił się w jej stronę. Płaszcz Róży zsunął się. Chłopak chwycił ją ostrożnie w ramiona.

„Ach, Józefie, ty niedobry”, śniła z zamkniętymi oczami.

Ernest zaniósł Różę na łąkę nad jeziorem i posadził ją przy wielkim kamieniu, z twarzą zwróconą do słońca. „Ładnie tu”, powiedziała prostując ramiona. Pod zamkniętymi powiekami tańczyły wszystkie barwy, a w myślach Józef tańczył z nią polkę. Ernest przyglądał się jej bladej twarzy z brązowymi plamkami, ukląkł, głaskał jej włosy i policzki.

Józef podskoczył do niej i przycisnął mocno do siebie.

Ernest głaskał ją ostrożnie po szyji, po ramionach.

Józef objął ją namiętnie.

Ręka Ernesta wygładzała fałdy na płaszczu Róży i wtedy ona otworzyła oczy. Jej źrenice płonęły. Na twarzy Ernesta widać było ciekawość i litość z powodu niezręcznego ruchu. Odsunęła jego dłonie. Nie padło ani jedno słowo.

Przez trzy lata trwało lato, trzy długie i gorące lata. Byli jak szaleni. Gospodarz nigdy ich nie przyłapał, ani na sianie, ani w komórce. W końcu Józef dostał stałą posadę w fabryce cementu, na cały rok. Mógł też zaciągnąć dług, by zabezpieczyć rodzinę, Różę i czwórkę dzieci, wybudować połowę domu; dwa pokoje, kuchnię, strych, pralnię i stajnię.

Ernest zniknął gdzieś, wrócił po chwili z wiązką chrustu i małym kanistrem benzyny. „Wystarczy, by rozpalić ogień, wystarczy by upiec chleb i mięso.”

Józef musiał pójść wkrótce na front. Służył w niemieckiej armii, ale wyglądał jak Polak. „Rózo, jeśli mnie wyślą do Polski, nie czekaj na mnie, już nie wrócę, zaciągnę się do partyzantki”, mówił.

Dwie kielbaski, dwie piętki chleba, kawałki mięsa, wszystko to nadziane na przemian na pospiesznie wystrugane patyki. Róża przyglądała mu się w zadumie.

Czworo dzieci, żadnego chleba, bez męża, bez renty.

Odwróciła twarz do ognia. Z zaciśniętymi z bólu zębami, wbijając palce w trawę, przysunęła się bliżej do ogniska. Nie wypowiedziała ani jednego słowa.

Józef był w partyzantce. Róża była tego pewna. W ostatnim liście z frontu pisał: „Na froncie spotyka się dobrych przyjaciół”. To zdanie było ustalonym przez nich hasłem.

Ernest podał Róży pierwszy patyk z chrupiącym chlebem i mięsem. „Bierz i jedz”, rozkazał.

Róża była myślami gdzie indziej. Myślała o braciach, którzy pocieszali ją w szczególny sposób na urodzinowym przyjęciu. „Józef pewnie zginął. Kamraci zastrzelili go przy próbie ucieczki. Myślisz, że gdyby udało mu się uciec, Polacy uwierzyliby w jego historyjkę? Najpewniej byłoby zastrzelić go jako szpiega. Twój mąż nie miał żadnych szans, Rózo.”

*„On był u partyzantów!“, wykrzykiwała Róża w rosyjskiej koman-
danturze, ale jej nie uwierzono. Gdyby mogła to udowodnić, pewnie
by już nie żyła. „Gospodin Jablonski nie partizanckij!“, powiedział
dobitnie oficer. Potem dał jej chleb i mruczał pod nosem: „Musisz iść
do pracy“. Odwróciła się, by wyjść. Na plecach poczuła jego oddech.
„Niemieckij soldat faszistskoj“, usłyszała. Stała jak wryta, palce
wbija w chleb. Jego ręka dotknęła jej pośladków. Róża odwróciła się
gwałtownie, spoliczkowała go i wybiegła z pokoju. Biegła jak szalona,
potknęła się, biegła dalej i upadła...*

„Rózo, mięso ci się pali!“, zbesztal ją Ernest. Wyrwał jej patyk z
ręki i ugasił ogień piwem. Róża osunęła się na stronę i zakolysała się
nad płomieniami ogniska. Wtedy chwycił ją mocno za ramię. „Co z
tobą, co się dzieje, Rózo?“, wyszeptał lekko rozdrażniony. „Już do-
brze, już dobrze...“, powiedziała cicho, oparła się o niego i wpatry-
wała się w płomienie.

Niebo nad jeziorem zmieniło kolor. Ernest podawał jej do ust upie-
czone kawałki mięsa. „Już więcej nie mogę, Erneście. Mój żołądek...
ty wiesz przecież...“, uśmiechnęła się gorzko, przełknęła ostatni kęs
i spjrzała na swoje ciało tak, jakby było obce.

Siedzieli w ciszy przy ognisku, przyglądali się jak woda w jeziorze
zmienia kolory: ciemnoniebieski, stalowy, ołowiany, a kiedy
zgrupowały się nad nimi ciężkie chmury, jezioro stało się czarne.
Zbierało się na nie-pogodę.

Ernest zerwał się, bez słowa chwycił Różę i zaniósł ją do auta.
Wytracona z ciszy bronila się, bijąc chudy-mi pięściami w tors
Ernesta, ale to tylko sprawiało jej ból. Ernest spakował wszystko w
pośpiechu i wygasił żar w ognisku. Wspomnienia Róży... nie
wiedziała, czy odczuwać gniew, czy wstyd... Podczas gdy nad ich gło-
wami zbierały się deszczowe chumry, jej brunatne, po-marszczone
policzki zalane były już łzami. „Rózo, ty płaczesz?“, spytał Ernest.
„Ach, daj mi spokój...“. I tak nie mógł jej pocieszyć.

W wozie Ernest musiał zasunąć dach. Zapalił światła i jechał
dalej milcząc. Na drodze było gęsto.

Róża odczuwała pustkę w myślach. „Trzeba coś mieć“, myślała z
wściekłością, „trzeba coś mieć oprócz mę-skich ramion, coś, czego
można by się trzymać.”

*Po wojnie poszła więc... No, gdzieżby? Poszła do partii. Józefowi by
się to podobało.*

Róża spojrzała na Ernesta. On patrzył uparcie przed siebie. Uniosła rękę i pogłaskała go po ramieniu. Kaćk jego ust drgnął lekko. Wtedy osunęła się na oparcie siedzenia.

„Sekretarz partii to był też taki pocieszyciel”, myślała. Uwolnił ją od odgruzowywania fabryki; wystarczył tylko partyjny stempel. Zalałwił jej pracę w sklepie i zaraz pierwszego dnia dorwał ją na ladzie, między kankami mleka i skrzynkami z magaryną.

„Czemu się tak ironicznie uśmiechasz, towarzyszeko Różo?”, Ernest spojrzął na nią pytająco i sięgnął po papierosa. Auto zakolysało się niebezpiecznie. „Uważaj, człowieku! Trzymaj tę kierownicę!”, Róża przestraszyła się. Od kiedy jej córka uciekła na zachód, Ernest, jej wnuk, zamieszkał u niej. Ciągłe się o niego bała. Spojrzała w lusterko. Jaka była brzydka, stara i chora. „Jak bardzo bał się o nią ten duży chłopak? I ile w tym strachu było ciekawości?”, myślała. Usta Róży to tylko sina kreska. Skurczyła się z bólu i jęczała: „Jedź szybciej, szybciej...” „Zaraz, zaraz...”, rzucił Ernest. Zaczął padać deszcz, droga opustoszała, dodał więc gazu; prawie frunęli przez pole rzepakowe.

Róża zwijała się z bólu, cała była oblana potem.

„Ci twoi cholerni czerwoni”, Ernest przeklinał widząc jej cierpienie, „oni też ci nie pomogli!” Docisnął gazu na zakręcie i pruł w ciemność. „Oni...”, Róża dyszała z bólu, „oni mi przecież uratowali życie.” „Różo, to lekarze, lekarze, a nie ta twoja partia.”

„Ach, chłopcze, nie masz pojęcia. Bez niej nie wzięliby mnie do szpitala”, broniła się, ale tym razem miała rację.

Ernest pędził wśród burzy przez osadę. „Zrujnowali ci zdrowie”, wyrzucił z siebie. I to też się zgadzało. „Bomba kobaltowa” skruszyła jej kości udowe jak ciasto. Od tego czasu Róża nie mogła zrobić kroku, nie mogła chodzić. Ostatnich piętnaście lat była przykuta do łóżka.

Róża chwyciła się za głowę, uciskała palcami skronie. To pomagało tylko przez kilka minut. Ból pojawiał się co chwilę. Nieustający, niezmierny ból.

„Erneście, proszę, proszę!”, krzyczała bez opamiętania po każdym zastrzyku i wbijała palce w ten przekłęty brzuch.

„Tylko jej nie słuchać... ból doprowadza ją do szału...”, myślał i patrzył tępo przed siebie. Nie mógł jechać zbyt szybko na drodze pełnej wyrw. W końcu zatrzymał się z piskiem opon przed domem, chwycił Różę i zaniósł ją do pokoju na poddaszu.

Wkrótce zaczęła się odpręzać. Na szczęście morfina zaczęła działać.

Ernest przyglądał się jej bezradnie, okrył ją troskliwie koldrą i znowu czuł złość za wdzięczność w jej oczach. Tym samym dziękczynnym, niemalże poddańczym spojrzeniem obdarzała zawsze listonoszkę, która przynosiła jej co miesiąc 300 marek renty. A jak idiotycznie witała sekretarza partii, kiedy zjawiał się na jej urodzinach i paplał o socjaliźmie na świecie, by jej za każdym razem zdawkowo powiedzieć: „Towarzyszko Rózo, a jeśli chodzi o wózek inwalidzki, to jeszcze obradujemy na ten temat”.

Ernest patrzył spokojnie i uważnie w szare oczy Róży, które wpatrywały się teraz w niewiadomą dal. Ostrożnie ujął jej chude ręce i skrzyżował na piersi, po czym zszedł na dół. Wyszedł z dusznego, przepelnionego zapachem morfiny pomieszczenia na podwórzec, na świeże powietrze. Spojrzał w górę na przyciemnione niebo i potrząsał głową. Dziwił się samemu sobie i tej absurdalnej myśli, która ustawicznie krążyła mu po głowie: „...Róża jest lekka jak ptak... wkrótce od nas odleci”.

© *Bernd Kebelmann*

© przekład: Małgorzata Płoszewska

